

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIS W NUMERZE

Jerzy Andrzejewski
Mieczysław Lurczyński
Irena Piotrowska
Józefa Radzyńska
Tadeusz Sulkowski
Franciszek J. Wazeter
Feliks Zandler

Vol. 4 No. 41 (198) Nowy Jork, 20 października — New York, N. Y., October 20, 1946 Cena 20 ct



Niezlomny obrońca wiary, prawdy i sprawiedliwości, arcybiskup Alojzy Stepienac, skazany przez "trybunał" Tity na 16 lat więzienia.

Sprawa mordów "ukraińskich"

Nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu wyszła książka p. t. "Zbrodnie niemieckie w Warszawie". Książka zawiera około półtorej setki dokumentów zbrodni, popełnionych w czasie powstania warszawskiego. Są to protokoły, spisane w okresie walk warszawskich z ofiarami i świadkami nakazanej przez dowództwo niemieckie "pacyfikacji" Warszawy.

Poza ogromem dokumentarnego materiału, bezcennego dla przyszłego historyka, książka zawiera wyjaśnienia sprawy dotychczas ciemnej i zagadkowej, mianowicie roli "Ukraińców" w czasie powstania warszawskiego.

Z wielu, uprzednio już ogłoszonych dokumentów i sprawozdań było rzeczą wiadomą, że w okrucieństwach i sadystycznym państwie się nad Polakami, "Ukraińcy" przewyższali nawet SS-manów i że im właśnie powierzało dowództwo niemieckie przeprowadzenie najpotworniejszych egzekucji kobiet i dzieci. Zagadką było tylko, skąd się wzięła w Warszawie i to w sierpniu 1944 roku tak wielka ilość zezwierzęconych i pozbawionych wszelkich uczuć ludzkich "Ukraińców".

Zagadkę tę rozwiązuje omawiane wydawnictwo, którego redakcja stwierdza już w przedmowie, że perfidja niemiecka wyraziła się w używaniu w Warszawie do pacyfikacji miasta "własowców", czyli tych spośród jeńców rosyjskich, którzy zdradziwszy własną ojczyznę przeszli na służbę niemiecką. W terminologii warszawskiej określano ich przeważnie mianem "Ukraińców"...

A zatem rzekomymi "Ukraińcami" byli Rosjanie ze słynnej armji Własowa. Wobec zamieszczonych w omawianej książce opisów orgji morderstw i dzikiego szalu zniszczenia i gwałtów, dokonywanych przez te bestje w ludzkim ciele bledną nawet sceny z obozów koncentracyjnych w Niemczech. Dość powiedzieć, że niejednokrotnie mieszkańcy Warszawy szukali wybawienia ze strony ...SSmanów.

Na próżno usiłuję — czytamy w jednym z protokółów — wskrzesić bardziej szczegółowy obraz tych dni, któreśmy spędzili z Ukraińcami, którzy zatracili zupełnie podobieństwo do człowieka. Był to okres takiego nieprzerwanego terroru, że straciliśmy poczucie rzeczywistości i rachuby czasu. Zdawało się, że żyjemy w szpitalu dla warjatów i dziwi, żeśmy wyszli ze zdrowymi zmysłami".

Powtaje teraz pytanie, czym wytłumaczyć to niewiarygodne wprost zezwierzęcenie "Własowców"? Czy Rosjanie z armji Własowa mieli jakieś powody szczególne, by nienawidzić Polaków?

Nie. Wszystko przemawia za tem, że w podobny sposób zachowaliby się oni także w stosunku do innych narodowości.

Istota sprawy polega na tem, że w Warszawie Niemcy dali Własowcom wolną rękę i pozwolili im "hulać".

I oto zobaczyliśmy, jak wygląda produkt totalistycznej tresury, gdy zwolni się go z pęt dyscypliny i strachu przed terrorem. Totalizm bolszewicki, tak jak i wzorowany na nim totalizm niemiecki zabija w skoszarowanych przez siebie masach, to wszystko co ludzkość wydzwignęła z poziomu hordy zbójckiej na poziom życia kulturalnego: religję, poczucie sprawiedliwości, prawo i litość. Masa ludzka, poddana tresurze dyktatury, staje się rozproszkowaną mierzwą ludzką, której uzbrojona w bat władza narzucić może dosłownie wszystko. Gdy jednak z takich czy innych powodów pękają więzy terroru i dyscypliny, masa, uprzednio już wyleczona z wszelkich "przesądów" religijnych i moralnych, przekształca się w bandę dzikich zwierząt, opanowanych żądzą gwałtu, niszczenia i mordu.

Historja "ukraińskiego" terroru w czasie powstania warszawskiego jest jednym z najbardziej przekonujących dowodów, że dziedzicem systemu totalnej dyktatury, opartej na terrorze i strachu i zabijającej wszelką kulturę jest stan, nieograniczonej żadnym prawem, dzikiej, zwierzęcej — anarchji i barbarzyństwa.

Zbierzemy milion dolarów na Kongres Polonji

IRENA PIOTROWSKA

Józef Mehoffer 1869—1946

Przed kilku miesiącami rozstał się z tym światem w Wadowicach pod Krakowem, po długim, czynnym życiu, Józef Mehoffer, artysta największej miary. Był on twórcą wyśmienitych portretów, krajobrazów, studjów rysunkowych, akwafort i polichromij ściennych, lecz zastąpił przedewszystkiem jako wskrzesiciel, obok Wyspiańskiego, witrażu polskiego.

Urodzony tegoż samego roku co przedwcześnie zmarły Stanisław Wyspiański, 1869, przeżył go o lat czterdzieści! Razem ze swoim wielkim rówieśnikiem pomagał za czasów swojej młodości Matejce przy dekoracji ścian i sklepienia kościoła Marjackiego w Krakowie. Wówczas też młodociani dwaj artyści skorzystali zapewne ze sposobności by dokładnie przyjrzeć się czternastowiecznym witrażom, zachowanym w tym zabytkowym kościele. Lecz o równie wielkiem znaczeniu była okoliczność, że Matejko wprowadził do swych malowideł ściennych pewne motywy kwiatowe natchnione przez polską sztukę ludową. Te motywy w pełni triumfują w polichromiach kościelnych, a przedewszystkiem we wspaniałych witrażach, stworzonych przez Mehoffera i Wyspiańskiego w okresie ich dojrzałości artystycznej.

Po przeszkoleniu artystycznym w Krakowie, Mehoffer studjował w Paryżu i zwiedził liczne katedry Francji ozdobione niezrównanymi w swej piękności średniowiecznymi witrażami.

W związku z odrodzeniem witrażu, ogłoszono w 1894 międzynarodowy konkurs na witraż do gotyckiej katedry we Fryburgu w Szwajcarii. Mehoffer odniósł zwycięstwo nad czterdziestoma artystami z całego świata, którzy stanęli do konkursu. Od tego czasu Mehoffer spędził trzydzieści lat swego życia nad wykonywaniem nagrodzonych projektów. W przedziwny sposób umiał połączyć zasady witrażowe z okresu największego rozkwitu tej techniki w dobie średniowiecza, z formami, sztuki nowoczesnej, a wreszcie z elementami czysto polskimi. Zaczepnął on swe motywy ornamentalne ze skarbcza sztuki ludowej, z chłopskich strojów, wycinanek, haftów, skrzyń malowanych. Tak na przykład polskie wzory dekoracyjne można wyraźnie rozpoznać w różnobarwnych skrzydłach anielskich w witrażach fryburskich, a gwiazdy posiadają żywe kolory i piękno dekoracyjne gwiazd betleemskich stworzonych z barwnego papieru przez koledników polskich w okresie Bożego Narodzenia. Jeden z pierwszych rozpoznał Mehoffer możliwości jakie otwo-

rzyły przed polską sztuką nowoczesną tradycyjne elementy ornamentacyjne, wiernie przechowywane przez stulecia przez zdobnictwo ludowe.

Po ukończeniu swego potężnego dzieła dla katedry szwajcarskiej, rozpoczął Mehoffer swą niestrudzoną działalność dla Polski odrodzonej. Do

wał się Niemcom tak groźny dla ich zamiarów wyniszczenia kultury polskiej, że go zamknęli w obozie koncentracyjnym. Wraz z Mehofferem zeszedł z tego świata jeden już z ostatnich artystów polskich, którzy byli inicjatorami odrodzenia polskiej sztuki stosowanej na przełomie 19 w.



“Wzniesienie Krzyża” — witraż Józefa Mehoffera w katedrze wawelskiej

najpiękniejszych jego prac wykonanych w kraju należą witraże, które zdobyły pawilon polski na Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w r. 1925, przeznaczone dla katedry wawelskiej.

Lecz to tylko fragment zasług wielkiego artysty dla Polski, artysty, który mimo podeszłego wieku wyda-

i którym było dane brać współudział we wspaniałym rozkwicie tej sztuki w ciągu dwudziestolecia Polski niepodległej. Do historii sztuki polskiej przejdzie Mehoffer jako twórca polskiego witrażu narodowego, do historii sztuki światowej, jako przodownik w nowoczesnym odrodzeniu stylu witrażowego w ogóle.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

Podróż

(Fragment z podróży II Korpusu z Włoch do Anglii)

WŁOCHY

Chciałabym myśleć wiele, lub żegnąć wiele, lub patrzeć i pamiętać kraj ni ładny, ni zwykły, lecz światła nocy, światła ostatnie każą mi wiedzieć tylko jedno: dal, która mnie wzywa jest niewiadomą i ciężką. Wyczuł to mój przyjaciel — zegarek z Polski i nie chciał iść więcej ze mną. Był martwy i wiedziałam, że kończy się uśmiech, którego resztki błąkały się jeszcze na moim życiu.

Noc kotłowana w ciasnych ramionach pociągu nosła więc mnie przez ziemię włoską. O świcie ziemia ta była już obca.

Aż nagle wyrosła brzoza. I wtedy, jakby coś stygnące ożyło we mnie, i poczułam ni żal, ni śmiech. Brzoza zaś była obojętna, a jej drobne liście, jak blaszki, szeleściły po swojemu. Tak więc — na obcej ziemi — znalazłam obcą część Polski.

AUSTRIA

Granatowe czapki kolejarzy są przecież znajome. Światła Innsbrucku nierówno odbijają się w zadyszczonych ulicach. Ludzie sprawiają wrażenie zgniecionych, zmiętych i przyciśniętych.

Rano — witają lasy i zablakany, śliczny wzrok nieruchomej sarny. Dunaj płynie majestatycznie, jakby wiedział, że jest rzeką o ważności międzynarodowej.

Pola przypominają mój kraj, a stacja — Amstetten — "Ludzi Bezdomnych" — bowiem tu wysiadać miała na roboty stara Judymowa.

NIEMCY

Dzieciaki o jasnych, prawie białych głowach, biegną obok pociągu. Chwytają łapczywie wszystko, co rzuci im, niepomna żadnych krzywd ręka polskiego żołnierza. Tak na każdej stacji. Patrzę na nie z uczuciem pogardy i wstydu. Widok ich ścieśnionych głów kojarzy mi się bardzo szybko z widzianym we Włoszech dodatkiem filmowym o Majdanku — góry czaszek dzieci polskich tam pomordowanych.

Historja lubi paradoksy.

Dzieciaki za kawałek chleba nauczyły się nawet mówić — "niech żyją" i powtarzają te dziwnie martwe w ich ustach słowa, bez przekonania kiwając łapkami. Nie patrzę na nie.

Dalej są lasy, piękne lasy, wysokie, gęste jak w Polsce. Pośród nich czerwone miasta, fabryki, ruiny, gdzie umarła wojna.

FRANCJA

Jakbym coraz bliżej była Polski, lub nawet w niej — tak bardzo kraj ten jest biedny. Biedne są pola, domy i twarze. Robotnicy w niebieskich kurtkach i prawie wszyscy w beretach — uśmiechają się jakimś odległym, cichym uśmiechem.

Nancy jest stare i ciemne. Król Staś Leszczyński może patrzył na owe mury. Nikła Francuzeczka na rowerze, patrzy na nas w pośpiechu. Ma za krótki płaszcz. Tu bieda jakby się wstydzi, ukrywa, padczas gdy w Niemczech jest jaskrawa napastliwa i jak wszystko tam zawsze — bezczelna.

Domki przytem przypominają mi polską stację w Ząbkach. Las może mniejszy. Jest mi ogromnie smutno, jakby płakały wszystkie pola i wszystkie obojętne kamienie przydrożne. A to tylko jest owa dal która odpycha mnie od mej młodości, od tamtych dni i ziemi.

Na stacji Lomme napisy są chyba stuletnie. Za budynkiem stacyjnym stara kolasa wśród drzew czeka na krynolinę.

W senny, utrudzonych oczach Francja jest zgnieciona i bez żadnego życia. W Calais morze jest ciemne, chłód dotyka ręk, a obraz Italji odchodzi i tylko się dziwi.

Angielki mają twarze płaskie, nieładne. Patrzą z wyniosłym uśmiechem, a wtedy odnoszę wrażenie, że ów uśmiech musi towarzyszyć kalekom.

LA MANCHE

Kiedy okręt jest już daleko od brzegu, tak, że wołanie nie poruszy nikogo, kto tam został — fale są złośliwe i szybkie. Wiatr rzuca je na twarz ludziom-włóczęgom — więc — mnie. Woda jest słona i mdła.

Europa oddala się spokojnie, prawie ulegle, a może z radością. Wiem teraz, że zawadzamy wszystkim i wszystkiemu.

Mewy są duże, białe i serdeczne. Myślę o Conradzie, który kochał mewy. Te ptaki mają w sobie tęsknotę za brzegiem. Są srebrne. Nawet w rzucaniu im kawałków chleba jest cień romantyzmu z czasu gdy się w Łazienkach karmiło łabędzie.

ANGLJA

Tak więc powróciłam do czasów jenieckich. Siedzę jak wtedy na pryczy i piszę. To ulga. Jest las, jakieś żółte kwiaty i Anglja. Ów kraj jest ogromnie przedziwny. Przedewszyst-

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY

by
TYGODNIK POLSKI

at
157 East 64th Street
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Adm. and Business Manager:

Dr. Leopold Obierek

Subscription

Monthly 80 cents

Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879".

kiem już w porcie Dover odnosi się wrażenie średniowiecza i jakiejś ciemnej, wilgotnej nieufności. Domy tu są przesadnie ozdobne, o wysokich dachach i długich, wąskich kominach, stojących groteskowo na straży domu. Mimo tych ozdób owe domy są jednakowo nużące, a przedewszystkiem wprost skaczą do oczu obecnością i jakby chmurą. Kraj jest ciemny, jednostajny, obdarty z jakiegokolwiek radości. Pozatem jest to fragment moich dni bez ziemi. Są lasy o obcym zapachu ciąglego deszczu, są pola, ogromnie powoli roztaczające się przed oczyma, są wreszcie ludzie o spojrzeniu z którego absolutnie nic wyczytać nie można.

A mój barak okrągły, jakby ktoś duży i silny rozkręcił rolkę blaszanej, białej krepiny nad głową — mój barak z matowemi szybami z poleskiej wioski — to właśnie dom — na ileś tam dni wygnania.

Kiedy wyjdę na próg — żółte, wysokie, dzikie kwiaty, potrąca mnie a gęsta paproć przypominają jakiś las z przed lat. A potem, — na pochylonej linii wzroku — są czarne, półokrągłe, martwe zwierzęta, rozłożone na trawie gęstej — w rozsypce dziwnej, bez linii, bez celu, jakby przywiódł je tu kaprys kogoś z za lasu. To baraki. Tam są żołnierze, którzy okłamują siebie uśmiechem, słowami i myślą. Bowiem twarze ich są dla mnie prostą kartą, gdzie najzwyczajszymi, prawie dziecinnymi literami rysuje się żal. Żal ten unika przedmiotu, oddala go, chce tłumaczyć.

Wciąż potrącają mnie paprocie i wiem, że są gęste i piękne, a pozatem kryją w sobie ogromną tęsknotę tysięcy ludzi, którym odebrano wszystko.

WIERSZE WYBRANE

TADEUSZ SUŁKOWSKI

SZCZĘSCIE

*Trudno śpiewać gdy zaciśnięte wargi,
poezjo, przyjacielu smutny,
żalu jak ptaki wysokiego narwij
i pod tymi wierszami go ukryj.*

*To jest dno — ten żal i ta czułość,
która boli razem z sercem po nocach,
a na wierzchu — jakby się nic nie popsulo,
jakby nocą śpiewał spokój i Mozart.*

*Palę papierosa jak gwiazdę młodą
i wiem po co jestem i co zrobię —
ty już nie za wodą, ja już nie za wodą
i możemy, szczęście, ręce podać sobie.*

*— Dla kogo ta nieprawda, poezjo? — potem gorzej,
bo to ani ręce ani Mozart.*

*— Twoje szczęście, poeto, że możesz
wiersz o szczęściu pisać po nocach.*

*Tego wołam, czego więcej nie spotkam
i tyle mam — ilem nie dostał —*

*Pomieszkać chociaż w tych zwrotkach,
przepióreczko, co uciekłaś mi w proso.*

DO SUMIENIA

*W naszej wojnie, o niepokoje,
słaba dusza jak chłop urosła —
wybierz, wybierz, sumienie moje,
ciężkie życie i proste niebios.*

*Strasz mnie, wilka, niech żyję lepiej,
pasterzu jeleni ufnych,
jak się bić, jak miłować, jak cierpieć
umówmy się, umówmy.*

*Pod tym niebem z Wagi modrej i wiatru
to jest twoje, co jest najcięższe,
nie ciszę daj, ale wątpieniem zatruj
aż do siebie żalem przyjdę i wierszem.*

*Ciemności wiecznie niedołączna,
szukamy, nie wiemy, błądzimy —
aniele stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój,
może będzie mniej winy.*

*Ważę siebie i ważę
na tej niesprawiedliwej wadze,
im się pomylę bardziej,
tym bliższy jestem prawdzie.*

MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI

SEZON W PIEKLE

*Te same kręgi i te same stopnie,
Przez czarne wody i popielne lasy —
Zda się, te same są wciąż inne czasy,
Tylko, że jeszcze dzieją się okropniej.*

*Och, Dante kiedyś paść mógł tam zemdlony,
Aby się w innym podźwignąć krużganku —
Mnie trza iść naprzód czujnie bezustanku,
Kto pada tutaj, nie będzie dźwigniony.*

*A jeśli kiedyś do niebieskich zniczy
Dojdę, ażeby światło tam napotkać,
Rzeknę, żem umiał sam podróży sprostać,
Bez Wergilego i bez Beatryczy.*

Buchenwald, 1943

CZAS POLEGŁY

*Szum odrętwiały, szelest suchy,
Czerwone liście wirujące,
Ostyga powiew w górze kruchy
I przepalone schodzi słońce.*

*Niebo natęża się kolorem
I słońeczники są przejrzałe,
Odbiega myśl do innej pory,
Do innych czasów zjesieniaty.*

*I nagle barwa liści wtrząsa
I rozpacz niesie powiew w górze —
Oto się serce sobą kąsa
W jesiennych nagle łzach i burzy*

*I płomieniste, wołające,
W ogniach, co nagle się zażęły,
Chce wszystkie wstecz obrócić słońca
I wskrzesić siebie — czas poleoty.*

FELIKS ZANDLER

List z Niemiec

SZUKAM KREWNYCH W U. S. A.

(CZYLI SMUTNE NA WESOŁO)

Zagadnienie posiadania krewnych i przyjaciół w Stanach jest chyba najpopularniejszym problemem wśród wysiedleńców — zwłaszcza na terenie amerykańskiej strefy. Był okres, kiedy po 50 marek sprzedawano sobie w obozach D. P. adresy nie nie przeczuwających obywateli U.S.A., na które chytrzy Di-Pisi (często po kilku na jeden adres) powoływali się, aby tylko wydostać się do wymarzonej Ameryki. Kwestja takiego wyjazdu przedstawiała się jeszcze przed paru miesiącami wcale różowo. Wystarczyło tylko powołać się na krewnych lub przyjaciół w Stanach i wymienić ich adres — a człowiek automatycznie dostawał się do obozu przejściowego w Fellbachu, aby stamtąd — jak go zapewniano w ciągu dwu czy trzech tygodni — via Bremen pojechać prosto do Nowego Jorku. Niestety tak cudownie zapowiadający się obóz przejściowy w Fellbachu okazał się naprawdę przejściowym, gdyż po wielu przejściach jego mieszkańcy rzeczywiście przeszli, ale co najwyżej do innych obozów wysiedleńców. Jakie intencje przyświecały władzom, nie wiadomo. Możliwie, że chcieli po prostu biednym Di-pi-som ulżyć. No i rzeczywiście — jeśli chodzi n.p. o bagaże, to im ulżono. Przed wyjazdem do obozu w Fellbachu kazano ograniczyć bagaż osobisty do 2 kg. Reflektanci na wyjazd do Stanów zaczęli więc gwałtownie rozsprzedawać i rozdawać osobiste rzeczy, aby tylko zmniejszyć swoje często wielokilogramowe bagaże do 32 kg. Ponieważ zapowiedziano też, że do Stanów nie można wywozić pieniędzy, mieszkańcy obozu zaczęli prowadzić życie rozrzutne i wielkopańskie, aby tylko pozbyć się niepotrzebnych marek!... Wszyscy żyli w myśl zasady: jedz, pij i popuszczaj... pasek!... Bo wszystko kupowano w pasku. Interesowano się jak nigdy cenami złota i brylantów, a ucieszone widocznie tym zainteresowaniem ceny zaczęły skakać z radości osiągając rekordy dotychczas nie notowane. Po paru miesiącach pobytu pełnego złud i nadziei na rychły wyjazd — Di-Pisi wyjechali zaopatrzeni w "szyfkarty" napowrót do obozów macierzystych lub raczej macosznych. Na kilkuset ówczesnych dorosłych reflektantów — pojechało do Stanów zaledwie parę osób... Większe już szczęście miały dzieci t. zn. sieroty. Te jechały i jadą masowo.

Dopiero po odesłaniu niedoszłych emigrantów z Fellbachu pojawiło się na ustach Di-Pisów tajemnicze słowo: "Affidawit"... Okazało się poniewczasie, że aby móc wyjechać do Stanów trzeba mieć tam jakiegoś krewnego, znajomego lub przyjaciela — obywatela amerykańskiego — który przysłałby rejentalne zapewnienie, że przyjdzie z pomocą wysiedleńcowi z chwilą gdy ten znajdzie się na terenie U. S. A. Zaczęło się gorączkowe szukanie krewnych w U.S.A. — ale niestety wśród reflektantów 99% było nie-do-krewnych t. zn. nie byli w stanie doszukać się krewnych w Stanach.

Biedni Di-Pisi często poczynali odczuwać gwałtowną miłość i tęsknotę do najdalszych z dalekich krewnych zaoceanicznych. Jakiś stryjeczny kuzyn po kądzieli ze strony babki ciotecznego pradziadka po mieczu skolięgaony z pociotkiem naszego szwagra, który przed 20 laty pojechał do Ameryki i nigdy już znaku życia o sobie nie dawał — stawał się, nagle najbliższym i najukochańszym krew-

niakiem biednego Di-Pisa. Tacy za dalecy krewni oczywiście zawadzili. Zwłaszcza, że nieszczęśliwi Di-Pisi najczęściej znali ich adresy — ale jeszcze z okresu pobytu swoich możliwych krewnych i protektorów w Polsce!...

Polacy w statystyce narodowościowej zajmują prawdopodobnie pierwsze miejsce — ale licząc od końca. Nic więc dziwnego, że coraz więcej polskich reflektantów na emigrację — decyduje się choć niechętnie na repatriację do kraju, jakkolwiek całkowicie nie zgadzają się ze stanem rzeczy narzuconym Polsce. Tembardziej, że miarodajne czynniki potrafią doskonale wpływać na dobrowolną decyzję wysiedleńców... Taką decyzję narzuca przedewszystkiem Di-Pisom zmuszanie ich do życia koczowniczego, czyli stałe przenoszenie ich z miejsca na miejsce. Zwłaszcza te obozy, w których warunki mieszkaniowe i życiowe są lepsze od innych — mają pecha i ulegają likwidacji. Często owo życie koczownicze jest zarazem kuczownicze, gdyż Di-Pisów lokuje się całym rodzinami w małych "kuczach", co również nie pozostaje bez wpływu na dobrowolną decyzję powrotu. Propaganda repatriacyjna przybiera coraz bardziej na sile. N. p. ostatnio wywiesza się w obozach urzędowe biuletyny informacyjne, z których nieszczęśliwy Di-Pi dowiadyuje się, że UNRRA już od października b.r. przestanie się nim interesować, że emigracja zacznie się niewieściej jak za dwa lata, że czeka go ciężka praca dla odbudowy Niemiec i że w ogóle najlepiej zrobi zabierając manatki i jadąc do kraju, gdzie czeka nań cudowne życie i zawrotne przydziały żywnościowe na kartki dla pracujących. Wobec perspektyw tego rodzaju liczni Polacy — nawet całkowicie świadomi obecnej polskiej rzeczywistości i najbardziej wrogo do niej usposobieni — czują się zmuszeni do powzięcia dobrowolnej decyzji powrotu. Wracają także i tacy, którzy na emigracji a szczególnie w Stanach Zjednoczonych mogliby być naprawdę bardzo pożytecznymi szermierzami sprawy polskiej... A reszta pozostaje w Niemczech i łudzi się... A nuż zacznie się emigracja? A nuż znajdzie się jakiś wujaszek w Ameryce, czy inny krewny lub przyjaciel, który wystawi nam upragniony Affidawit...

Do tych niepoprawnych optymistów zalicza się także i autor tego

W POPRZEDNIM 40 (197) NU.

**MERZE "TYGODNIKA
POLSKIEGO"**

Ludwik Berger: Broda Khediwa; **Marjan S. Chodacki:** Polska w parlamencie brytyjskim; **Czesław Bednarczyk:** Żołnierz i poezja; **Georges Bernanos:** "Polska została tylko włączona"; **Jerzy Andrzejewski:** Powrót; **Melchior Wańkowicz:** Mord na Gen. Michajłowicz; **Franciszek J. Wazeter:** Rozmowy z Polonią; **Tydzień polityczny;** **Kronika polsko-amerykańska;** **Opinie i zdarzenia.**

feljetonu. Bo kto wie — może wśród moich Szanownych Czytelników znajdzie się ktoś wspaniałomyślny i zechce wyzwolić mnie z przymusowej niewoli w zwyciężonych Niemczech. Ponieważ nie kupuje się „kota w worku“ ani nie ręczy się za nieznanomego Di-Pisa — dlatego pozwolę sobie kilka słów o sobie napisać: Skończyłem już lat 17, t. zn. 17 lat.. pracy literackiej. Po raz pierwszy światło dzienne ujrzałem w nocy z 13-ego na 14-y listopada 1910 roku w głębi Rosji — we Lwowie. W tymże mieście chodziłem do... — i poza szkołę — oraz ukończyłem studia prawnicze... Karany sądowe dotychczas jeszcze — tfu... tfu... tfu... żeby nie urzec! -- nie byłem. Jestem zdrowy na ciele i — wbrew pozorom — na umyśle. W Polsce zaliczałem się do najcięższych humorystów — ważąc przeszło 100 kg. żywej wagi i byłem współpracownikiem „najpoważniejszego“ pisma humorystycznego jak „Cyrulik Warszawski“, „Wróble na Dachy“ i „Szpilki“. Pomimo zgoła nie-eterycznej postaci pracowałem też na falach eteru, w szczególności w „Wesołej

Lwowskiej Fali“ i niemniej Wesołej — Syrenie warszawskiej. W czasie okupacji niemieckiej „skompromitowałem się“ przynależnością do bardzo dziś niepopularnej w kołach rządzących Polską — organizacji Polski Walczącej... Po za właściwym moim zawodem literata posiadam również pożyteczny fach brukarza, który to kunszt udało mi się posiąść po gruntownych studjach za granicą t. zn. w Niemczech. Najlepiej umiem brukować „w kostkę“ albo w „kocie łby“. Praca ta — chociaż szła mi jak z kamienia — dawała mi wiele zadowolenia. Jako pisarz jestem bardzo płodny — mam dwoje dzieci — a poza tem spłodziłem trzy komedje muzyczne, jedną farsę, osiem rewji i przygotowałem do druku dwa tomy satyr... Wszystko to dorobek powojenny (rzeczy nowe i rekapitulowane), gdyż reszta owoców mojej dawnej pracy literackiej spłonęła w Warszawie podczas powstania. Mam wprawdzie cichą nadzieję, że moje utwory podczas pożaru ocalały, gdyż niektóre dowcipy były tak ciężkie, że nawet ogień by ich strawić nie mógł — ale nie-

mniej jednak pogodziłem się z ich stratą. Może to zresztą i lepiej dla literatury polskiej! (przyp. zecera). Tyle o mnie. Wrodzona skromność nie pozwala mi dodać, że jestem niezwykle obiecującym, choć może zbyt głęboko ukrytym talentem literackim, że jestem naprawdę genialnym, wszechstronnym i t. d. — zresztą są to rzeczy samo przez się zrozumiałe o których mówić nawet nie potrzeba.

Gdyby wśród Szanownych Czytelników znalazł się ktoś z moich krewnych czy przyjaciół w U.S.A., czy też poprośtu ktoś, ktoby zechciał mi wyrządzić przyjacielską przysługę wystawienia Affidawitu na przyjazd do Stanów Zjednoczonych to niech mu Bóg zapłaci — bo ja dysponuję na razie tylko niemiecką walutą. Ów nieznanany a może poprośtu urojony Dobroczyńca może być pewny, że oprócz poczucia humoru posiadam także i poczucie honoru, które nie pozwoliłoby mi nadużyć jego wielkoduszności. Bliższych szczegółów i danych o mojej osobie i adresie udzielić może redakcja.

Feljeton ten kończę sygnałem: S.O.S.!



Ruiny warszawskie

JERZY ANDRZEJEWSKI

P O W R Ó T

FRAGMENT POWIEŚCI "NATCHNIENIE ŚWIATA"

(Ciąg dalszy)

Po bokach rynku, gdzie błoto było cokolwiek mniejsze, koczowało wielu ludzi, znajdujących się w takiej samej sytuacji, jak Gaszycki i jego przygodni towarzysze podróży. Większość z pośród uciekinierów stanowili mężczyźni, lecz było także dużo kobiet i małych dzieci. Niektórzy z mężczyzn poszukiwali wygodniejszego schronienia na noc w ruinach. Tam, jeśli zachował się gdziekolwiek bodaj kawałek domu, strzęp ściany, muru, lub kilka niedopalonych belek sufitu, mieszkańcy tutejsi pościągali byli swoje ocalałe rzeczy i tak całymi rodzinami, wśród stosów wilgotnych betów i przeróżnych gratów, gnieździli się pod gołym niebem, pomiędzy gruzami i zwęglonymi szczątkami. Byli to sami przeważnie Żydzi: chuderlawi, poźółkli mężczyźni, ciemne rozczochrane kobiety z dziećmi na rękach, pogarbieni starcy bez ruchu i z przymkniętymi oczami siedzący na jakichś rupieciach lub wprost na gołej ziemi. Gdzieniedzie pośród zrudziałych rumowisk i czarnych kominów sztywno sterczących na tle ciężkich, szaro-żółtych chmur, widać było pochylonych ludzi szukających w gruzach resztek dobytku. Kilku drobnych, czarnych i kędzierzawych chłopców tytlało się bosymi nogami w błotnistych kałużach na środku rynku. Mrok zapadał coraz gęstszy. Gdzieś w głębi rynku, już w ciemnościach prawie, zapłakało niemowlę. Ale pozatem, mimo zbiegowiska tylu ludzi, cisza niezwykła panowała wśród tłumu. Nie było słychać żadnych rozmów, szepty tylko ściszone, czasem plusk błota pod krokami, westchnienie jakieś. Za to z daleka, od strony szosy, dobiegał głuchy turkot toczących się czołgów: jednostajny, ciężki, bez przerwy.

— Mamo! — szepnął półgłosem stojący nieopodal Gaszyckiego chłopiec.

Młoda, szczupła kobieta, z plecakiem zarzuconym na ramię, pochyliła się ku małemu. Oboje, matka i syn, przyjechali tym samym wozem, co Gaszycki. Wracali zdaje się z daleka, aż z za Bugu. Usadowili się zresztą jeszcze z początkiem podróży na przodzie wozu, Gaszycki zaś siedział na drugim, najgorzej trzęsącym końcu, tyłem do wszystkich odwrócony i z nogami zwieszonymi ku ziemi, lecz mimo turkotu kół bardzo często wpadał mu w uszy świeży, dzieciennie poważny głos małego. Dzieciak wyglądał na rówieśnika Tomasza i dlatego Karola zainteresował. W miarę zbli-

żania się do Warszawy myśli Gaszyckiego coraz natrętniej zacieśniały się do niepokoju o los najbliższych. Dopóki chciał się przedostać za granicę, pragnienie przedarcia się na tamtą stronę przytłumiło w nim lęk o pozostawionych w domu. Dopiero, gdy się stało jasne, że ich niedługo będzie mógł ujrzeć, począł się dręczyć obawą.

— Mamo! — powtórzył malec. — Czy oni tu przyjadą?

— Nie wiem, synku — odpowiedziała kobieta. — Może nie... szosa jest dość daleko...

— A jak przyjadą?

Nie doczekawszy się odpowiedzi szepnął po chwili:

— Ja się nie będę bać!

— Tak, kochanie.

— I ty się też nie bój — ciągnął mały trochę drżącym głosem — ja cię obronię...

Gaszycki dopiero teraz mógł się uważnie przyrzeć chłopcu: był wprawdzie drobniejszy od Tomasza, lecz tego samego mniej więcej wzrostu, za to jeszcze jaśniejszy, o płowych, bardzo gęstych włosach i delikatnych rysach twarzy. Wyglądał na śmiertelnie znużonego, widać było, że chociaż broni się przed sennością, ledwie trzyma się na nogach. Instyktownie, bezradnym ruchem zmęczonego dziecka, przytulał się do matki.

— Krzysiu... — szepnęła — nie zasypiaj...

Mały drgnął i wyprostował się.

— Nie, ja nie śpię?

— Nie zimno ci?

— Nie.

Drżał jednak, miał na sobie lekki tylko płaszcz, a na nogach buciki bardzo już widać nadwyryżone i podniszczone. Kobieta rozejrzała się bezradnie wśród ciemniejącego dokoła zmierzchu.

— Chodź, Krzysiu — wzięła wreszcie malca za rękę — poszukamy jakiegoś miejsca, żeby usiąść...

— Nie pójdziemy do domu?

— Jutro rano pójdziemy, kochanie, teraz już za późno...

Przeszli tuż obok Gaszyckiego. Widział, jak oboje ostrożnie wymijając największe kałuże oddalali się wolno ku przeciwniejszej stronie rynku. Trzymali się ciągle za ręce, mały starał się stawiać tak samo duże kroki, jak matka, przychodziło mu to jednak z trudem i chwilami dreptał zupełnie dzieciennie. Widać było pozatem, że na jedną nóżkę trochę utyka. Akurat nowy wóz wjechał na rynek. Kilku młodych chłopaków hałaśliwie ze-

skoczyło na ziemię i wśród tego zamętu Karol stracił tamtych z oczu.

Chwilę jeszcze stał nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić. Dopiero gdy przenikliwy chłód nim wstrząsnął, ruszył przed siebie na chybił trafił i bez żadnego zamierzonego planu. Błotnista i wąska uliczka, na której się znalazł, przedstawiała obraz takiego samego zniszczenia, co rynek. Po obu stronach ciągnęły się ruiny i zgłiszcza, kominy czerniały, tu i ówdzie okopcone cegły rozdartej ściany, i podobny także mdły zapach spalenizny przenikał wilgotne, przymglone powietrze. Pusto było i coraz ciemniej. Nisko ponad ziemią przesuwały się sine i brunatne strzępy pokłębionych obłoków. Całe niebo, jak okiem sięgnąć, było zachmurzone, tylko na skraju horyzontu, w stronie zachodu, rozpościerała się długa i nikła smuga żółtawego blasku. Od niej to właśnie szła ku nadiąającej nocy złowroga poświata.

Gaszycki przeszedł dobry szmat drogi nikogo nie napotkawszy. Cisza tutaj trwała tak martwa, iż odgłos grzęznących w błocie kroków wydawał się bardzo donośnym pluskiem. W jednym miejscu kilka nędznych, z liści ogołoconych drzewek chwierutało na wietrze. Gdzieś wśród rumowisk był pies.

Opustoszałe i zniszczone miasteczko wydało się teraz Gaszyckiemu o wiele rozleglejsze, niż wówczas, kiedy ciągnął nim ze swoim oddziałem za dnia, pomiędzy stłoczonymi ruderami, przy odgłosie przybliżającej się z poza przeciwnego brzegu Wisły kanonady. Ulica, którą szedł, a która, o ile się orjentował, prowadziła w kierunku drogi warszawskiej, zdawała się nie mieć końca. Aż nagle przystanął. Z prawej strony, z niedaleka i trochę jak gdyby z dołu, dobiegał odgłos licznych głosów, gniewny, charakterystyczny pomruk tłumu. Machinalnie, po kostki grzęznąc w błocie, przebrnął na drugą stronę drogi. Tam boczna jakaś uliczka; nieomal ścieżka wciśnięta pomiędzy zgłiszcza, zbiegła dość stromo w dół. Poszedł tamtędy, potykając się o wyboje i ślizgając w zmierzchu na spadzistym, glinianym gruncie. Niebawem u końca uliczki ujrzał niski, czerwony dachówką kryty i jak gdyby w ziemię wkleśnięty dom. Przed nim falował i wrzał stłoczony, ciemny tłum.

Chwytnąjąc się celem utrzymania równowagi poopalanych żerdzi jakiegoś ocalonego od pożaru plotu, przedostał się wreszcie Gaszycki poprzez

rozmiękle gliniaste bajora aż na sam dół. Śmierdziało tam okropnie gnijącą, brudną wodą. Rzeczywiście nieopodal domu połyskiwała w dole, na tle sterczących dokoła czarnych kominów, zielonawa tafla zamulonego stawku. Jakim zbiegiem okoliczności ten jedyny ze wszystkich dokoła zabudowań dom ocalał, trudno było zgadnąć. Tłum był ogromny, zbity w jedną jak gdyby bryłę. Tłoczył się i kottował pomiędzy ową samotną rudera i cuchnącą poniżej glinianką. Był już zupełnie zmierzch. Owa żółta smuga na horyzoncie, którą pierwiej widział Gaszycki bardzo nikłą i odległą, teraz zdawała się z tego miejsca wyżej wzniesioną na niebie i odbłask jej niezwykłą poświata naświetlała całą kotlinkę: dom z czerwonym dachem, mroczny tłum, bajoro w dole i zamarte zgłiszcza dokoła. Pomruk zmieszanych głosów stawał się tymczasem coraz burzliwszy. Gaszycki nie zdążył się nawet zorjentować, jak i kiedy znalazł się wśród cisnących się dokoła ludzi. Wtem ostry, przenikliwy krzyk rozdarł powietrze.

— Mamo!

Gaszycki, pchnięty gwałtownym załadowaniem tłumu, znalazł się naraz na samym prawie skraju gliniastej krawędzi. Przez moment ujrzał w dole gęstą i lepka, ciemnozieloną wodę. Jej powierzchnia była już zwarta i nieruchoma, jeszcze tylko przy brzegu rozchodziły się leniwie drżenia lekkich kręgów. Z całej siły musiał się butami zaryć w miękki grunt, aby oprzeć się naciskowi. Kilku młodych mężczyzn, jeszcze dalej niż on zepchniętych nad niebezpieczne urwisko, poczęło sobie pięściami torować drogę naprzód. Jednocześnie siłą przytrzymywali niedużą i drobną, może dziesięcioletnią dziewczynkę w czerwonym płaszczku. Ta szamotała się z nimi, jak oszalałe zwierzątko, trudno było sobie wyobrazić, że w tak wątej istocie znaleźć się może tyle energii. Przez moment ujrzał Gaszycki tuż przy sobie jej dziecinną, straszliwie nabrzmiąłą twarzyczkę, usta zachłyśnięte rozpaczliwym krzykiem i oczy rozszerzone przerażeniem.

— Mamo, mamo! — skamlała mała.

Mężczyźni jeszcze energiczniej pchnęli się naprzód i dzięki nim i sile własnych ramion Gaszycki znalazł się głębiej w tłumie. Skowyt dziewczynki stał się jeszcze bardziej przejmujący.

Tymczasem od strony domu przepychali się ku wyjściu inni ludzie. Gdy Gaszycki zetknął się z pierwszym z nich, uczuł nagle w pobliżu siebie świeży zapach ciepłego chleba. Rzeczywiście mężczyzna trzymał pod pachą niewielki, ciemny bochenek, drugą zaś wolną ręką torował sobie przejście. Gaszycki od południa nie miał

nic w ustach i aż go zemdliło z głodu, gdy poczuł przy sobie ów jędrny żytni zapach. Dopiero teraz zorjentował się, że ocalony od zniszczenia dom jest piekarnią i sprzedają tam teraz chleb. Ze zdwojoną zatem energią począł się pchać naprzód. Lecz nie dotarł i do połowy drogi, gdy wśród najbliższych stojących koło piekarni podniosły się wzburzone głosy i przekleństwa. Więcej chleba nie było. Wiadomość natychmiast rozniosła się dokoła i tłum zakotył się i gwałtowniej począł napierać na dom. Ze wszystkich stron podniosły się krzyki i wyzwiska pod adresem piekarza. Ten stał w półotwartych drzwiach piekarni, Gaszycki widział tylko jego potężną, łysą głowę i barczyste ramiona. Przekładał coś ludziom, tłumaczył, lecz nikt go nie chciał słuchać. Wrzawa stawała się coraz groźniejsza. Gdzieś w środku tłumu szamotały się i przeraźliwie lamentowały Żydówki.

— Na pasek, łobuz, schował! — krzyknęto z boku. — Przészukać dom!

Dokoła rozległy się wrzaski i gwizdy. I już ci, co byli na samym proździe, cisnąć się poczęli do środka. Barchysty piekarz zagroził im drogę, oddepchnął męczężynę, który zamierzył się na niego kijem, lecz nie zdążył cofnąć się i drzwi zatrzasnął, gdy tłum przewrócił go i runął do środka.

Wśród tego zamętu Gaszycki pchnięty został aż ku samej piekarni. Ujrzał wówczas piekarza leżącego we drzwiach, twarzą do ziemi. Coraz nowi ludzie, depcząc po nim i tratując go, wdzielali się do wnętrza. Nagle przez wyłamaną okienną ramę wychylił się jasnowłosy, kędzierzawy chłopak i cisnął bochenkiem chleba w tłum. Nieprawdopodobny ryk wybuchnął na dworze. Ktoś z ludzi uchwycił w powietrzu, lecz pchnięty wypuścił go na ziemię, w błoto.

— Trzymajcie — wrzasnął ten sam chłopak.

I drugi bochenek przeleciał ponad kłębiącymi się głowami. Teraz zupełnie już szaleństwo ogarnęło ludźmi. Każdy chciał się za wszelką cenę dostać do środka i zdobyć upragnione jedzenie. Gaszycki, przyciśnięty do ściany, nie mógł się poruszyć ani w tę, ani w tamtą stronę. Zmierzch stał się już na tyle gęsty, iż zmrok zacieriał sywatki pojedynczych ludzi i tłum, wściekły i opętany, wydawał się jedną ciemną masą, spienioną i ryczącą. Ochryple wrzaski miały się wśród ciemności. Żółta smuga na zachodzie przygasała. Ciężko sine chmury pędziły tuż nad samą ziemią. Krzyki duszonych i tratowanych ginęły w ścisisku i w zgłębku.

Ci tymczasem, którzy dostali się do piekarni, niszczyli ją. Gaszycki ciągle nieruchomo przywarty do chropa-

wej ściany, słyszał tuż przy swojej głowie trzask łamanych mebli, jakieś krzyki kobiece, tupot nóg, przekleństwa, śmiechy, łoskot spadających na ziemię przedmiotów.

— Chlebać chleba! — wrzało na dworze.

Lecz więcej chleba ponad te dwa bochenki nie było. Musiano za to porozpruwać worki z mąką, bo naraz biała kurzawa dymić poczęła poprzez pozbawione szyb okna. Wtedy uciszyło się. I jak wpierv szaleństwo zagarnęło tłumem, tak teraz równie nagle stał się tępy, lekliwy jak gdyby spokój. Powoli, potykając się w mroku i ślizgając w chlupoczącej pod nogami glinie, pojedynczo i grupkami, poczęli się ludzie w milczeniu rozchodzić. Tumany białego pyłu unosiły się w powietrzu, a gdy zawiewał ostrzejszy wiatr, niesło się kurzawę w głąb nocy.

Mijając zbrocze ponad glinianką Gaszycki usłyszał nisko, tuż przy ziemi, cichy, resztkami sił wspierany, żałosny płacz. Przystanął, a ponieważ dobrze się orjentował w ciemnościach, od razu dojrzał o kilka kroków od siebie skuloną przy ziemi drobną sylwetkę dziewczynki w czerwonym płaszczku. Stał bez ruchu i po raz drugi tego wieczoru, wraz z bolesnym niepokojem o Tomaszka, wniknęło w niego mgliste, lecz piekące uczucie wstydu. Obok, podobni do bezgłośnych cieni, mijali go milczący, pochyleni ludzie. Daleko wśród nocy ciągle dudniły ciężkie czołgi. Słuchał chwilę tych odgłosów, aż wreszcie wyprostował się i pozostawiając poza sobą samotny płacz, począł się wspinać znajomą ścieżynką ku górze. Dopiero gdy przebiął przez najgorszy kawałek drogi i zatrzymał się, aby zaczerpnąć oddechu, poczuł, że ma usta pełne mącznego pyłu. Przez chwilę zastanawiał się, czy wrócić na rynek, czy też wyruszyć mimo nocy w dalszą drogę. Wybrał to drugie, jeszcze bowiem z września zapamiętał, że o kilka, nie więcej, niż pięć do sześciu kilometrów, powinna się poza Sekocinem znajdować przy trakcie duża wieś.

Rzeczywiście po paru godzinach wolnego marszu dotarł do pierwszych chałup. Noc była bardzo chłodna, lecz po przelotnym deszczu, który ostro zaciął w twarz, wiatr począł rozpełzać chmury, aż wreszcie wysoko ponad obłokami tu i ówdzie okazało się ciemne grantowe niebo i kilka dalekich gwiazd zabłysło.

Trakt biegł wśród rozległej równiny, pustej i martwej. Gdzieniedzie tylko zamajaczyła przy drodze biaława, szeleszcząca brzezina, gdzie indziej wiatr targnął pogiętymi wierzbami, częściej za to zanosilo z głębi nocy jesienną wilgocią namokniętych łąk.

(Ciąg dalszy nastąpi)

FRANCISZEK J. WAZETER

ROZMOWY Z POLONJĄ

Dzisiaj pragnę poruszyć pewną sprawę, którą prasa, z niewiadomych powodów potraktowała bardzo lekceważąco, umieszczając wiadomości o niej na szarym końcu dzienników między nieważnymi notatkami i informacjami. Chodzi o nowy występ pani Eleonory Roosevelt.

Możnaby się osobą pani Roosevelt wogóle nie zajmować, gdyby nie to, że staraniem Prezydenta Trumana i panów Wallace'a i Peppera piastuje ona bardzo ważne stanowisko przewodniczącej komisji praw ludzkich w Organizacji Zjednoczonych Narodów. Przyrodzone a niepozbywalne prawa ludzkie, jeśli nie są, to w każdym razie powinny być fundamentem sprawiedliwego i trwałego pokoju. Bez nietykalności praw obywatelskich człowieka nie ma wolności narodu i nie może być gwarancji bezpieczeństwa i pokoju ludzkości. W gruncie rzeczy o prawa człowieka toczyła się druga wojna światowa i w imię tych praw, gwałconych przez barbarzyński totalizm walczyli i ginęli nasi bracia i synowie! Wprawdzie Prezydent Roosevelt w Jałcie i w Teheranie rzucił na pastwę tyranji totalistycznej wraz z niepodległością szeregu narodów europejskich także prawa przeszło stu milionów ludzi, ale właśnie Organizacja Zjednoczonych Narodów, a szczególnie jej Komisja praw ludzkich miała być platformą dalszej walki o odbudowę gwałconej wolności, czyli tej wartości, bez której nie sposób wyobrazić sobie utrzymania naszej cywilizacji.

Ci, którzy proponowali wybór pani Eleonory Roosevelt na przewodniczącą komisji praw ludzkich w O.Z.N. podkreślali jej wielki humanitaryzm, dowodząc, iż wdowa po Prezydencie ma bardzo tkliwe serce, ujmuje się za słabszymi, broni murzynów, walczy z krzywdą ludzką, i tak dalej i tak dalej...

Pięknie. Chodzi tylko o to, dlaczego współczujące serce pani Roosevelt jest tak jednostronne w wyborze swych sympatii? Dlaczego, naprzykład, broniąc murzynów, co jej się bardzo chwali, równocześnie potrafi być zupełnie zimna i nieczuła w stosunku do najjaskrawszych gwałtów totalistycznej tyranji sowieckiej na Polakach, jakkolwiek wybrana została na swe stanowisko, dlatego by bronić praw człowieka wszędzie na świecie... Jeżeli Brytyjczycy wahają się z udzieleniem pełnej niepodległości pół-dzikim szczepom, to to jest w przekonaniu pani Roosevelt, tak zresztą jak i jej syna Elliota, jak i panów Wallace'a i Peppera — ucisk,

niesprawiedliwość i żarłoczny imperializm. Gdy jednak totalistyczna dyktatura sowiecka przemienia całe kraje europejskie w ponure niewolnicze obozy koncentracyjne, to wszystko jest w zupełnym porządku...

Jak wytłumaczyć to dziwne rozdwojenie osobowości raz płacziwockliwej, to znów jak głaz zimnej pani Eleonory Roosevelt?

A teraz drodzy czytelnicy, trzymajcie się mocno, by nie pospadać z krzesła, albo przynajmniej nie wybuchnąć głośnym śmiechem...

Przyczyną względów, jakimi w sercu pani Roosevelt cieszy się tyranja totalistyczna sowiecka jest jej... miłość do pokoju...

Tak jest! Całą tę swoją zdumiewającą filozofję polityczną przedstawiła pani Roosevelt z początkiem zeszłego tygodnia w mowie wygłoszonej przed kobietami ze słynnego Political Action Committee.

Mowa nie była jednym hymnem pochwałą dla polityki Rosji sowieckiej. O nie! Pani Roosevelt zdaje sobie sprawę, że dzisiaj nie zajędzie daleko w Ameryce sánymi zachwytyami nad polityką "wujka Józia" (takieszczotliwie nazywa Stalina w swych pamiętnikach także Elliot Roosevelt). Zaczęła więc w swej mowie od dość ostrej nawet krytyki zachowania się delegatów sowieckich na Komisji praw ludzkich O.Z.N.

"Nie ma takich argumentów — mówiła — któreby były zdolne zmienić stanowisko albo sposób głosowania przedstawicieli sowieckich... Jest to jedna z najbardziej oburzających rzeczy na świecie..."

Zdawałoby się, że jedynym logicznym wnioskiem może być w takiej sytuacji tylko zapowiedź zmiany dotychczasowej ustępliwej taktyki wobec totalizmu sowieckiego...

Zamiast tego pani Roosevelt, z "oburzenia" znowu przechodzi na ton miękkiej łagodnej kobiecości i ze słodyczą kontynuuje: "...zdecydowałam się zostać przy swoim... jeśli będę miała dość cierpliwości, to za rok od dzisiaj, Rosjanie być może zmienią swoje zachowanie się... Możliwe, że to jest niesłuszne, ale w moim przekonaniu to jest droga, na której Zjednoczone Narody mają szanse powodzenia..."

Oto filozofja polityczna pani Roosevelt i jej fellow-travellers. Stanowisko Rosji Sowieckiej jest "najbardziej oburzającą rzeczą na świecie" i "nie ma takich argumentów", które mogłyby zmienić to stanowisko, ale mimo to z... miłości do pokoju trzeba "cierpliwie" dalej ustępować, bo... mo-

że stanie się jakiś cud i Moskwa przyjmie demokratyczną wiarę.

Innemi słowy: z miłości do pokoju nie należy wyzyskiwać obecnej przewagi obozu demokratycznego, lecz pozwolić Rosji produkować spokojnie bombę atomową i trawić dotychczasowe zdobycze, by mogła systematycznie przygotowywać nową... wojnę, tymczasem pod hasłem zaprowadzenia wszędzie na świecie komunistycznej dyktatury.

Gdyby pani Eleonora Roosevelt była prywatną osobą i niczem więcej, możnaby nad całą jej filozofją przejść spokojnie do porządku dziennego. Ale pani Eleonora Roosevelt jest z ramienia Stanów Zjednoczonych przewodniczącą ważnej komisji obrony spraw ludzkich w O.Z.N. a pozatem protektorką całej wpływowej grupy amerykańskich obywateli.

A to już nie może być dla nas obojętne. Nie po to dawaliśmy i dajemy ze siebie wszystko dla zabezpieczenia przyszłości Stanów Zjednoczonych i naszej cywilizacji, by ludziom opętany samobójczą koncepcją polityczną pozwolić na niszczenie fundamentów tego bezpieczeństwa i tej cywilizacji.

Gdy pan Wallace doradza oddanie tajemnicy bomby atomowej, a pani Roosevelt dalszą "cierpliwość" i ustępliwość wobec totalizmu sowieckiego, gdy zalecana przez nich polityka "uszanowania podejrzliwości sowieckiej" ma się wyrażać w rezygnowaniu z naszej tradycji i naszych ideałów, to jasną jest rzeczą, że zarysowują się tutaj dwie drogi — albo polityka prosowiecka, albo polityka proamerykańska.

Jedna wyklucza drugą. Pierwsza oznacza stopniową rezygnację z cywilizacji chrześcijańskiej, oraz z amerykańskiej kultury i amerykańskiego sposobu życia, druga wymaga otrząśnięcia się z dotychczasowego bezwładu i ulegania antyamerykańskim sugestjom i wkroczenia na drogę stanowczych decyzji i męskiej polityki dla odwrócenia katastrofy grożącej zarówno nam jak i całej cywilizowanej ludzkości.

Nie może być żadnych wątpliwości, po jakiej drodze pójdą w dalszym ciągu Amerykanie pochodzenia polskiego, zorganizowani w Kongresie Polonii Amerykańskiej. Jest to droga nieustępliwej, bezkompromisowej walki o zabezpieczenie wielkości kultury i dobrobytu Stanów Zjednoczonych, o nietykalność zasady wolności człowieka i narodów o pełną niepodległość i suwerenność Kraju naszych ojców i dziadów — Polski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Konferencja paryska, zwana pokojową, po dwumiesięcznych, często burzliwych, nierzadko pełnych konfuzji obradach, dobiegła końca. Ale, zakończenie tej konferencji zupełnie nie oznacza, że sprawa podpisania traktatów pokojowych z pięcioma krajami — satelitami Niemiec została już istotnie zakończona. Przedewszystkiem, charakter tej konferencji był jak wiadomo, opiniodawczy; zebrani w Paryżu, w liczbie 1,500, delegaci dwudziestu i jednego krajów, ich doradcy, doradcy doradców, eksperci, rzeczoznawcy ekspertów i.t.p. nie mieli prawa niczego decydować. Przygotowywali opinie, które — uzyskawszy taką czy inną większość w komisjach — zostały przez plenum konferencyjne, napędzane biczem pośpiechu, zatwierdzone większością głosów, przyczem prawie zawsze większość taką stanowiły głosy 15 krajów zachodnio-europejskich i zamorskich contra 6 głosów "bloku słowiańskiego", to jest Rosji Sowieckiej i pięciu marjonetek, w tej liczbie i reprezentacji reżymu warszawskiego.

Głosowanie na plenum konferencji potwierdziło, definitywnie, stan rzeczy jaki się wytworzył na posiedzeniach oddzielnych komisji konferencyjnych. Mianowicie: potwierdził fakt całkowitego rozbicia wśród t. z. aliantów. Rosja Sowiecka i jej "blok słowiański" okazały się izolowane; konferencja wprawdzie, w drobnych kwestjach zdołała dojść do względnego porozumienia, ale nie mogła skonstruować takiego, nawet względnego, porozumienia w kwestjach politycznie najważniejszych, najostrożniejszych, najbardziej zapalnych.

Ani sprawa Triestu, ani kwestja Dunaju, ani kwestje terytorjalne bałkańskie, ani też zagadnienie wolności handlu międzynarodowego nie zostały przez konferencję rozwiązane. Jugosławia zapowiedziała, że traktatu z Włochami nie podpisze; Bevin zagroził, że Wielka Brytania nie podpisze traktatów z krajami naddunajskimi, o ile kwestja żeglugi na Dunaju nie będzie uregulowana przez układ międzynarodowy; Rosja Sowiecka też zapowiedziała odmowę położenia swego podpisu, o ile w traktatach pokojowych narzucona będzie krajom bałkańskim — idzie tutaj głównie o Rumunję i Bułgarię, poniekąd i Węgry — klauzula wolnego handlu i największego uprzywilejowania.

Dobrą stroną tych dwumiesięcznych obrad konferencji paryskiej było tylko to, że powiedziano sobie publicznie, w toku dysput i kłótni, trochę prawdy, dotąd starannie ukrywanej w kancelariach dyplomatycznych; pożytecz-

nym wynikiem ujawnienia tych cząstek prawdy, jest rozwianie złudzeń, wśród niektórych kół międzynarodowych pacyfistycznych manjaków, naiwnie wierzących w dobrą wolę Moskwy i jej "demokratyczne" cele światowo-polityczne.

Opinie i zalecenia konferencji paryskiej przekazane teraz zostaną nowej konferencji ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki, mającej się zebrać w Nowym Jorku, w czasie zbliżającego się walnego zebrania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zgóry można przewidzieć, że ta, zda się, listopadowa konferencja ministrów Wielkiej Czwórki będzie powtórzeniem rozbicia, ujawnionego wśród aliantów, podczas teraz zakończonej konferencji paryskiej. Sprawę Triestu, sprawę Dunaju, sprawę wolnego handlu nie da się teraz zakleić plasterkiem nowych kompromisów: wszystkie gatunki takich środków zaradczych już w Paryżu starano się zaaplikować. Ktoś będzie musiał teraz generalnie ustępować. Pytaniem ważnym jest tylko: kto teraz ustępować będzie?

Że "blok słowiański" odnosi się do pisanych traktatów i zobowiązań w sposób bolszewicki, świadczy wyraźnie postępowanie Jugosławji i Rosji Sowieckiej w kwestji Triestu. Kiedy plenum konferencji paryskiej, większością 15 głosów przeciw 6 głosom "bloku słowiańskiego", zatwierdziło uchwałę odnośnej komisji w sprawie granicy jugosłowiańsko-włoskiej i Triestu, według kompromisowej formuły francuskiej, Wyszyński, zastępujący Mołotowa, przedłożył wniosek, nazwaną niewinnie wyglądający, aby po ratyfikacji traktatu pokojowego, wojska aljanckie, to jest amerykańskie i brytyjskie, ewakuowały w ciągu 30 dni obszar Triestu i wąskiego pasa Istrii, pozostawionego przy Włoszech. Prawdziwy cel, przyświecający wnioskowi Wyszyńskiego, został przez większość konferencyjną wnet zrozumiany. Jakiż to cel? Bardzo pro-

sty; przed miesiącem, omawiając na tem miejscu zapowiedź delegata jugosłowiańskiego Kardelijego, że decyzja konferencji w kwestji granicy z Włochami i w kwestji statutu Triestu Jugosławję obowiązywać nie będzie, wyraziliśmy przypuszczenie, że Jugosławja zamierza kwestję tę rozwiązać sama, po usunięciu wojsk aljanckich ze spornego terytorjum. Przedłożony w Paryżu wniosek Wyszyńskiego przypuszczenie nasze potwierdza w pełni. Jugosławja, może pod przewodem p. Kardelija, zamierza powtórzyć głośny przed dwudziestu ośmiu laty wyczyn d'Annunzia, ale pragnie to uczynić bez dużego ryzyka, pod nieobecność zachodnich aliantów. P. Wyszyński zgłaszając swój wniosek, właśnie zmierzał do ułatwienia reżymowi Tita tej nowej awantury, tylko że rzecz jest zbyt przejrzysta i dlatego w Paryżu kwestję wycofania ze spornego obszaru wojsk amerykańskich i brytyjskich uzależniono od decyzji Rady Bezpieczeństwa UN, podzuczając w ten sposób, tej słabej instancji, jeszcze jedno jabłko niezgody, trudne do zgryzienia.

W Paryżu rozgrywka dyplomatyczna między mocarstwami anglo-saskimi a Rosją Sowiecką nie została wcale rozstrzygnięta. Gra będzie prowadzona dalej, w listopadzie w Nowym Jorku. Konferencja paryska była w tej grze tylko jednym aktem i to nie najważniejszym.

Gra ta komplikuje się przecież coraz bardziej. Stanowisko Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji w sprawie cieśnin dardanelskich, ujawnione obecnie przez ogłoszenie not dyplomatycznych, wzmacnia Turcję w oporze przeciw nowym uroszczeniom sowieckim. Ważnym odcinkiem tej gry jest nadal Jugosławja; proces wytoczony przez reżym Tita arcybiskupowi zagrzebskiemu Stepinacowi, pogłębił konflikt ze stanami Zjednoczonymi. Przytłumienie powstania na południu Iranu nie zamyka jeszcze oporu konserwatywnych elementów perskich przeciw polityce ustępowania Sowietom, prowadzonej przez rząd premiera Gawahma. Słusznie czy niesłusznie, opór przeciw tej polityce przypisują w pewnej mierze, posunięciem brytyjskim, co wywołuje ostrą reakcję Moskwy.

Plaszczyzny ostrej taré pomiędzy mocarstwami anglo-saskimi a Rosją Sowiecką nie zmniejszają się ani też nie tracą na swej ostrości. Przebieg działań wojennych w Chinach, zwłaszcza zdobycie przez armję narodową Kałganu, centralnej północno-chińskiej bazy armji komunistycznej, ostrość tę, niewątpliwie, silnie zwiększy.

P I S M A

ADAMA MICKIEWICZA

w wydaniu Polish American Book Co
w Chicago

sześć tomów w trzech książkach
w nowym wydaniu drukowane
na najlepszym papierze, ilustrowane, oprawne **cena \$5.00**

PAN TADEUSZ — Cena \$1.50

Są do nabycia w administracji
"Tygodnika Polskiego", 157 E. 64 St.,
New York 21, N. Y.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

Pionierzy polsko-amerykańskiego przemysłu i handlu

RODZINA SIEMIŃSKICH

Pierwszy spotkany w Jersey City policjant był zdziwiony a nawet nieco urażony w swym lokalnym patryjocie.

— Wszyscy wiedzą tutaj gdzie jest Brunswick Laundry. Nie trudno ją zresztą znaleźć. Trzy bloki na lewo, olbrzymi komin z napisem i kompleks budynków.

Poczułem się zupełnie jak "ciemna masa", a hamowane oburzenie policjanta zrozumiałem gdy stanąłem przed budynkami tej pralni-fabryki, która gdyby nie szyldy i napisy mogłaby równie dobrze uchodzić za jakąś ogromną wytwórnię wielkiego przemysłu. Bo też w istocie jest to wielki przemysł w całym tego słowa znaczeniu.

Po chwili siedziałem w gabinecie Romana Siemińskiego, skarbnika tej rodzinnej spółki. On też wraz z inżynierem Kazimierzem Solskim wprowadzili mnie w arkana tej wielkiej maszyny.

Sluchając historii narodzin tej największej na świecie pralni jako jednostki samej w sobie, nabrałem przekonania, że wbrew sceptykom rozlicznym, rodzą się jednak w Ameryce duże przedsiębiorstwa i fortuny z wytrwałej pracy ludzkiej a nie tylko z dziedzictwa po rodzicach-miljonerach czy też na fundamencie wielkich kapitałów już od chwili powstania. Jakże miło jest wiedzieć, że takie zasobne i wielkie przedsiębiorstwo jest wynikiem wieloletniej pracy, pomysłowości i wysiłku polsko-amerykańskiego. Duża i zgodnie pracująca rodzina Siemińskich jest tego znakomitym przykładem.

Było to...

— równo 48 lat temu — informuje p. Roman Siemiński.

Zacząło się od pozornej drobnostki, która stworzyła tego kolosa. Oto dwaj bracia, Władysław i Henryk Siemińscy wybierali się na bal. W ostatniej chwili okazało się, że koszule smokingowe wróciły z chińskiej pralni dosłownie w strzępach.

Na bal nie poszli, ale tego wieczora zakielkowała mysz którą zrealizowali w rok później. Kapitał zakładowy: — 200 dolarów.

— Może zobaczy pan jak to wygląda teraz — proponuje inżynier Solski. I zaczęliśmy wędrowkę po gmachach tej pralni jakiej niema drugiej na świecie. Trudno laikowi zdawać relację z tej masy najnowocześniejszych maszyn: pralni, (sztuka 15 tysięcy dolarów, a jest ich kilkadziesiąt) su-

szarek, prasowaczek, i dziesiątków innych zautomatyzowanych urządzeń ułatwiających pracę i wykonywujących ją precyzyjnie i szybko.

— Mamy 60,000 klientów i mniej-więcej pierzemy tyleż samych koszul tygodniowo. Przeszło 125 naszych samochodów jest w nieustannym ruchu. W pełnym sezonie osiągnęliśmy cyfrę 1200 pracowników, wśród nich wielu Amerykanów polskiego pochodzenia.

Przyciszoną muzykę dochodzącą z głośników, przerywa dźwięczny dzwonek wybijający w halach, składach, garażach i elektrowni jakiś tajemniczy alfabet Morse'go.

— Telefon do mnie — mówi inżynier Solski i podchodzi do najbliższego aparatu.

Wędrowka nasza trwa. Sala po sali, piętro po piętrze, gmach po gma-

zniszczonej koszuli i 200 dolarów! Tego elektrycznego olbrzyma obsługuje dwóch ludzi przy pomocy zmyslnych maszyn i konwojerów.

W zakładowej kafeterji szef kuchni Francuz z pochodzenia, częstuje doskonałym śniadaniem za które pracownicy płacą 35 centów (niedawno jeszcze kosztowało ono tylko 27 centów).

— Dopłacamy do tego, ale zależy nam aby pracownicy mogli zjeść niedrogo i smacznie.

W powrotnej drodze do biur zarządu dowiaduję się o organizacji i składzie tej rzadkiej a zgodnie pracującej spółki rodzinnej. Jeden z założycieli — Henryk Siemiński — zmarł w 1941 roku. Prezesem rady nadzorczej jest brat zmarłego, Władysław, mieszkający stale na Florydzie i liczący 68 lat.

Prezesem spółki jest syn Władysława Eugenjusz, skarbnikiem Roman, sekretarzem Edmund, wiceprezesem Lucjan i asystentem dyrektora Alfred, który niedawno powrócił z Europy w randze majora wojsk amerykańskich, z kampanją włoską w armji gen. Clarka poza sobą.

Synowie Władysława i Henryka posiadają już własne gniazda rodzinne. Edmund i Roman — synowie Henryka — są szczęśliwymi ojcami — każdy dwóch chłopców.

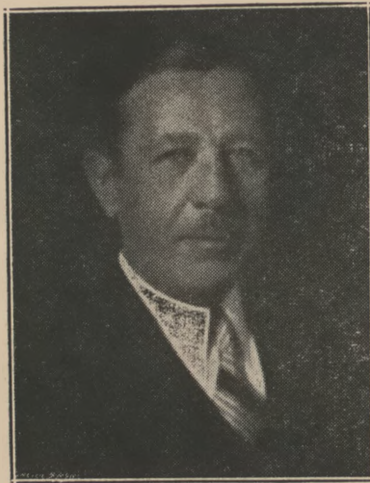
Obaj założyciele firmy byli i są szeroko znani wśród Polonji ze swej działalności społecznej, organizacyjnej i humanitarnej. Zmarły Henryk sprawił swojemi staraniami i wpływami, że wielka autostrada nazwana została Pułaski Skyway. Nazwisko jego zostanie na zawsze we wdzięcznej pamięci rodaków.

Siemińscy podejmowali swego czasu gen. Sikorskiego bankietem w Nowym Jorku, oni gościli wielu polskich lotników którzy przechodzili szkolenie w ośrodkach kanadyjskich. Oni nie szczędzą grosza gdy chodzi o poparcie polskiej sprawy i polskich celów. Cała rodzina w komplecie odwiedziła Polskę w roku 1930 i ziemię płocką skąd pochodzą Władysław i Henryk oraz ich rodzice.

Młodszy poza pracą zawodową zajmują wiele wybitnych stanowisk w instytucjach bankowych i społecznych amerykańskich.

Zwiedziłem placówkę imponującą i jedyną na świecie. Placówkę która jest własnością Polaków amerykańskich. Niech im szczęście sprzyja.

Tes.



Władysław Siemiński

chu .Czyszczą i piorą tu wszystko co człowiek nosi, na czym śpi i je.

— Gdybyśmy mogli jeszcze prac sumienia ludzkie — przypominam sobie słowa p. Romana Siemińskiego — toby sprawy polskie inaczej wyglądały.

Chłodzone przechowywalnie futer. Siedemdziesiąt tysięcy sztuk! Olbrzymi majątek w drogocennych skórkach.

Inżynier Solski prowadzi mnie do elektrowni zakładów. Wszystkie gmachy projektował właśnie on. Elektrownia mogłaby śmiało obsłużyć całe miasto. Wszystko poruszane jest tutaj energją elektryczną — nawet pewna ilość samochodów firmowych. Piece pochłaniają 20 tonn węgla dziennie. Budowa jej kosztowała 600,000 dolarów. A wszystko zaczęło się od

PARĘ SŁÓW O SEJMIE ZJEDNOCZENIA P. R. K.

O 44 Sejmie Z.P.R.K., będziemy jeszcze nieraz słyszeć i wiele jeszcze będzie się o nim pisało. Nie przeprowadził on wprawdzie żadnych rewolucyjnych uchwał a obrady jego nie toczyły się nawet zbyt burzliwie.

Sejm większość swych obrad poświęcił bardzo przyziemnym problemom — zresztą bardzo istotnym dla organizacji ubezpieczeniowej, oraz był widownią nie budującej walki o urzędy i godności w organizacji.

Delegaci sejmowi nie wykazali zainteresowania i chęci walki z tem wszystkim co wypacza życie, i kieruje je na drogę zmaterializowania i co powoduje tak wybitne zmniejszenie przyływu młodzieży do organizacji.

Wśród starych Zjednoczeńców było dużo goryczy i żalu na takie podejście Sejmu do tych podstawowych zagadnień organizacyjnych i chwilami wydawało się, że jeden z delegatów, zasłużony kapłan ze Wschodu, należący do Zjednoczenia tyle lat ile było Sejmów — ma rację nazywając ten Sejm — sejmem pogrzebowym organizacji.

Może ustępujący Zarząd zawinił wbrew swej woli — przez swą taktykę, że obrady potoczyły się po takiej właśnie linii. Mimo jednak tych niewłaściwości, mimo zbyt jednostronnego opracowania wniosków na Sejm przez Komitet Specjalny, nie można znaleźć wytrzymujących krytykę argumentów na usprawiedliwienie niewłaściwego ustosunkowania się Sejmu do szeregu bardzo żywotnych zagadnień organizacyjnych.

Organizacja z tak chlubną przeszłością, przodująca od 1873 przez dziesiątki lat w wielu dziedzinach życia Polonji, twórczyni Archiwum i Muzeum, opiekunka jedyne polsko-amerykańskiego seminarjum duchownego, mająca jeszcze w swych szeregach 141,172 członków (128,029 starszych i 13,143 młodszych) — zdecydowała na Sejmie 44-tym faktyczne ograniczenie swej działalności na wielu odcinkach życia społecznego i kulturalnego. Postanowiono bowiem między innymi rezerwy finansowe przeznaczone na pomoce naukowe oraz rezerwę funduszu narodowego przelać na rezerwę funduszu pośmiertnego, dalej postanowiono pismo organizacyjne "Naród Polski", wychodzące co tydzień o nakładzie 66 tys. egzemplarzy zamienić na miesięcznik. Należy obawiać się, że w rzeczywistości będzie jeszcze gorzej, gdyż wobec nie uchwalenia podwyżki składki członkowskiej na fundusz obrotowy o 7 centów (siedem centów) miesięcznie, organizacja z trudem będzie mogła prowadzić administrację i nie będzie miała środków na podtrzymanie tych dzie-

dzin życia organizacyjnego, które stanowią jej treść, wysuwają ją na czoło życia Polonji i są atrakcją dla nowo-wstępujących członków.

Jeśli jednak już dzisiaj statystyka ruchu członków, a zwłaszcza w dziale młodzieżowym, wykazuje ubytek, to należałoby wobec tych uchwał sejmowych dojść do przekonania, że Zjednoczenie starzeje się i zamiera.

Spostrzeżenia te byłyby jednak zbyt jednostronne gdybyśmy nie wspomnieli i o jaśniejszych przejawach, które uwidoczniły się w czasie Sejmu, a które pozwalają mieć pewną nadzieję, że Zjednoczenie ma jeszcze dość siły by przebrnąć te wszystkie trudności i powrócić do dawnej a może nawet i szerszej działalności. Do tych przejawów należy zaliczyć cichą, szlachetnie pojętą walkę młodszych ze starszymi Zjednoczeńcami. Rezultatem tej rywalizacji był przedewszystkiem wybór 44 letniego dziennikarza na marszałka 44 Sejmu, następnie zmiany personalne na czołowych stanowiskach w Zarządzie i wprowadzenie do Zarządu kilku młodszych, ideowych, światłych i kochających młodzież ludzi. Przewodniczy temu nowemu zarządowi zasłużony Zjednoczeniec, który za poprzedniej swojej prezesury wykazał

wiele zalet i dużo zdziałał dla dobra Zjednoczenia.

Oby udało się temu nowemu zarządowi wybrnąć szczęśliwie z tych wszystkich trudności i skierować organizację na torę dalszego rozwoju tak, by zasłużony kapłan, weteran II wojny, mógł następny Sejm nazwać "odrodzeniowym", a weteran-dziennikarz, który z pełną godnością i humorem zniósł porażkę wyborczą, mógł powiedzieć, że mowy i artykuły, które pisał spełniły swe zadanie i aby mógł czuć się szczęśliwym że "innym dał szczebel do sławy grodu" dla dobra Zjednoczenia.

WYRÓŻNIENIE POLSKIEGO UCZONEGO

Znakomity znawca psychopatologii, dr. Zygmunt Piotrowski został mianowany doradcą Sekretarza Wojny Stanów Zjednoczonych (expert Consultant to the Secretary of War), doradcą psychologicznym w Administracji Weteranów na stan nowojorski i na Porto Rico.

Dr. Zygmunt Piotrowski urodził się w Poznaniu. Ukończył tam gimnazjum im. Marji Magdaleny, później studiował psychologię i socjologję na Uniwersytecie poznańskim, na paryskiej Sorbonie i na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Po ukończeniu studjów uniwersyteckich i uzyskaniu doktoratu filozofji, został starszym asystentem w Zakładzie Psychologicznym Uniwersytetu Poznańskiego, a od szeregu lat jest docentem na oddziale psychiatrycznym wydziału medycznego uniwersytetu Columbia (Associate in Psychiatry).

Praca dr. Piotrowskiego drukowano w wielu pismach naukowych amerykańskich, angielskich i polskich. Ukazało się też wiele artykułów uczonych w Stanach Zjednoczonych i zagranicą, w których powoływano na dorobek dr. Piotrowskiego.

Dr. Z. Piotrowski pozostaje nadal na Uniwersytecie Columbia, nie przerywając swej pracy, kontynuując swe wykłady na wydziale psychiatrycznym w "College of Physicians and Surgeons, Columbia University".

ZWIĄZEK MŁODZIEŻY Z POLSKI WSPÓLPRACUJE Z KONGRESEM POLONJI

Związek Młodzieży z Polski na dowód ściślej współpracy ze starszym społeczeństwem bierze czynny udział w pracy Kongresu Polonji Amerykańskiej. Z uwagi na ogrom pracy w biurze Kongresu, przy zestawianiu kartotek po przeprowadzonej kampanji zbiórki milionowej, członkowie Związku zgłosili się, ofiarując bezinteresowną swą pracę w biurze.

Inż. ADAM ZIARKO, syn Dr. Ziarki z Krakowa, jest poszukiwany przez krewnych. Wiadomości o nim proszę kierować na adres: Dr. G. P. Warfield, 150 Fifth Avenue, New York 11, N. Y.

ANTONINA JAZDOWSKA — (Maczków-Haren) Ems. Germany, B.A.O.R., Polish Forces P-40) poszukuje brata, Piotra Rudzkiego, ur. w Odessie, syna Albina i Felicji, konsula rosyjskiego w N. Jorku, na stanowisku do r. 1930, oraz przyjaciela brata: barona Korfa. Wiadomości proszę kierować na adres: Dr. G. P. Warfield, 150 Fifth Avenue, New York 11, N. Y.

ADELA ZUBERBIEROWA — Warszawa, ul. Emilii Plater 30, m. 8, — poszukuje męża, Dr. Dionizego Zuberbiera, laryngologa z Warszawy. Wiadomości proszę kierować na adres: Dr. G. P. Warfield, 150 Fifth Ave., New York 11, N. Y.

Potrzebni czyściciele do budynków biurowych, do pracy nocnej. Doświadczenie niepotrzebne — 40 godzin pracy — bardzo dobra płaca. Należy zgłosić się do pana Inge — 59 Pine St., New York City.

OPINIE I ZDARZENIA

MOŻNA WEJŚĆ LECZ NIE MOŻNA WYJŚĆ

W drugim kolejnym reportażu z podróży po krajach bałtyckich i Polsce pisze p. F. Bruce Lockhart — ("Time and Tide" z 21.9.):

"Trudno opisać wstrząsające wrażenie, jakiego doznaje się przybywając ze spokojnej i niezniszczonej Szwecji, na widok ruin Warszawy, oglądanych z powietrza. Jedyne ulice, które mają na rogach tablice z nowymi nazwami, to Aleja Śtalina i Aleja Wyzwolenia — tylko że nikt tych nazw nie używa.

Trudno jest pisać sprawozdanie z Polski, należy bowiem przemilczać źródła. Ja sama nie miałam się czego obawiać, mogłam chodzić, gdzie chciałam, mam wrażenie, że nie byłam śledzona, choć wiele osób było innego zdania. Urzędnicy ambasady brytyjskiej są przyzwyczajeni do "ogonów", ciągnących się za nimi. Nie ma powodu, by Polakom, którzy stykają się z gośćmi brytyjskimi, groziło niebezpieczeństwo, nie mniej tłumacz, który ostatnio towarzyszył dwóm z nich, znajduje się w więzieniu.

Pewien kelner wyszeptał mi do ucha skargę: "To nie brak żywności, ani brak złotych, ale brak bezpieczeństwa i wolności". Z rozmów z duchownymi, politykami, dziennikarzami, akademikami, urzędnikami i wprost z ludźmi z ulicy wyciągnęłam dwa wnioski: przekonaniem każdego Polaka jest, że kraj nie jest wolny, ale rządzony przez reżim, narzucony z Moskwy. A dalej, że niepewność jutra, panująca w kraju, powodowana jest przez policję bezpieczeństwa, która jest polskiem wydaniem NKWD.

Rząd według ogólnego zdania nie potrwałby i dwa dni, gdyby nie bagnety czerwonej armii.

Na każdym piętrze mego hotelu w Warszawie siadywało po dwie, trzy osoby przy małym stoliku, dniami i nocą, jacyś dozorczy czy służba. Zapewniano mi, że to aganci UB. Poznają dziewczynę, którą aresztowano i przesłuchiowano przez cały miesiąc tylko dlatego, ponieważ widziano ją z człowiekiem, którego UB aresztował. Jest zwyczajem UB masowe aresztowanie ludzi i stopniowe ich wypuszczanie. Zabiera się ich po cichu, zostawiając rodziny w zupełnej nieświadomości co do ich losu. Polacy nie chcą na ogół mówić o sposobie traktowania uwięzionych. Pytania spotykają się z wymownym milczeniem, albo ze wzmiankami o "azjatyckiej brutalności", o wiele bardziej wyrafinowanych od niemieckich metod tortur, mających na celu "zniszczenie

człowieka". W tych warunkach strach panuje wszędzie i jest niemal automatyczny. Pewien młody człowiek, który mnie odprowadzał do hotelu wieczorem, starał się unikać oświetlonych ulic i trzymać się w cieniu. Pewien starszy człowiek, który niedawno wrócił z Syberji, powiedział mi: "nie jestem obecnie w więzieniu, bo jestem bardzo ostrożny. Owszem, możemy żyć, jeść, nawet śmiać się i tańczyć, nie wolno nam jednak mówić". Polacy w Warszawie rozmawiają tylko w domu. Nawet w biurze zostałam zaprowadzona do osobnego zamkniętego pokoju, by tam zresztą usłyszeć ogólnie znane opinie. W Krakowie panuje lżejsza atmosfera, przynajmniej pozornie. W krakowskim tramwaju, gdy użalałam się, że kwiaty, które mi ofiarowano, są ściśnięte drutem, jeden z pasażerów powiedział: "Tak dzieje się tutaj ze wszystkim".

W kołach prywatnych mówi się na różne tematy, poważnie są to nadzieje na trzecią wojnę i obawa przed nią, wybory, w które nikt nie wierzy.

Jest wielkie zainteresowanie Polakami na Zachodzie. Spotkałam się ze zdaniem, że ludzie ci potrzebni są w kraju, gdyż "nie może być Polski bez Polaków". Ale jedynymi ludźmi, którzy bezkompromisowo twierdzili, że Polacy z Zachodu powinni wrócić, była młodzież — stwardniała w podziemnej walce i uważająca, że wszyscy powinni wrócić i dzielić z nią ryzyko. Ale i ta młodzież miała wyjątki: męża, ojca, brata, którzy wracać nie powinni. Nikt ze starszych nie posunął się do bezwzględnego oświadczenia się za powrotem. Polacy w kraju uważają, że decyzja powinna być pozostawiona Polakom za granicą, i nie mają za złe tym, którzy nie wracają, jeśli ci sądzą, że mogą lepiej służyć krajowi poza jego granicami. Spytałam pewną młodą kobietę, co myśli o "żelaznej kurtynie". Odparła: "Działa tylko w jedną stronę — można wejść, ale nie można wyjść". Wyjechałam z Polski z uczuciem, że rozumiem, co znaczy żyć w okupowanym kraju".

"PONIEWAŻ WOJNA JEST NIEUNIKNIONA..."

Z Bawarii do strefy sowieckiej uciekają b. oficerowie niemieccy i wykwalifikowani robotnicy. Jeden z nich pisze do kolegi, zachęcając go do przyjazdu: "Ponieważ wojna między Wschodem a Zachodem jest nieunikniona, nie widzę nic złego w pracy dla Rosjan, szczególnie że warunki są świetne (2,900 kalorii)."

TOMASZ MANN O NIEMCACH

Tomasz Mann, największy współczesny pisarz niemiecki, bawiący w Stanach Zjednoczonych, odmówił przed kilku miesiącami powrotu do Niemiec. Obecnie ogłosił motyw swego postanowienia. "Niemcy — czytamy w tem oświadczeniu — nie uczestniczyły nigdy na przestrzeni wieków w ewolucji politycznej i cywilizacji zachodniej. Nie mają oni pojęcia o swobodach obywatelskich i wolności politycznej. Weźmy przykład Lutra: był on zacięłym przeciwnikiem każdego ruchu, który zmierzał do wolności indywidualnej, tak, jak ja pojmuję Zachód. Niemcy pojmowali wolność tylko jako swobodę, aby być wyłącznie Niemcami. Tak sformułowana idea prowadziła zawsze do czysto germańskiego ujmowania życia i jego zjawisk. Była ona zawsze barbarzyńska i antyeuropejska... Jestem przekonany, że nie ma dwóch Niemców. Dla kogoś, kto urodził się w Niemczech, jest rzeczą niemożliwą przybrać się w białą togę i złożyć deklarację: "jestem dobrym, szlachetnym Niemcem, a wy zajmijcie się tą bandą zbrodniarzy". Cały naród ponosi odpowiedzialność za nieszczęścia..."

ZA NACIŚNIĘCIEM GUZIKA

Wszystkie mocarstwa prowadzą wojskowe badania atomowe, by zapewnić wojnie atomowej 100-procentową skuteczność przy naciśnięciu guzika. Prace idą w następujących kierunkach: 1) rakiety poprzez oceany i kontynenty. 2) urządzenia do kierowania na odległość rakietami i ich detonowania bez pozostawienia śladów pochodzenia, 3) metody detonowania przez radio bomb atomowych, ukrytych w kraju nieprzyjacielskim przez tajnych agentów. Gdy wszystko będzie gotowe, więc przypuszczalnie za 5 lat, samo istnienie tych środków skłaniać będzie do przyspieszenia wojny. Środki te będą tak katastrofalne, że żaden naród nie zechce dopuścić do ryzyka, że inny naród uderzy pierwszy. Broń atomowa z natury rzeczy potęguje podejrzliwość i premjuje zdradę.

Dr. Oppenheimer, kierownik laboratorium atomowego w Los Alamos, na pytanie, czy jest sposób wykrycia ukrytych we własnym kraju bomb atomowych, odparł: "Tak, dłużej do otwierania wszystkich skrzynek".

ZJEDNUJCIE NOWYCH
PRENUMERATORÓW

W kilku słowach

Z POLSKI

Episkopat Polski liczy obecnie w swem gronie 6 arcybiskupów (wśród nich dwóch kardynałów), 28 biskupów i 5 administratorów apostolskich. Archidiecezja wileńska, archidiecezja lwowska i diecezja łucka oraz diecezje greko-katolickie na wschodnich ziemiach Polski zostały przez rząd sowiecki jednostronnie zlikwidowane. Likwidacji tej Stolica Apostolska nie uznała i ostatni Rocznik Papięski podaje dalej wykaz biskupów na terenach polskich, włączonych do Rosji, zaznaczając, że biskupi-ordynariusze i sufragani znajdują się bądź na wygnaniu, bądź w więzieniu.

Obsada diecezji polskich, jeżeli chodzi o biskupów, jest już pełna po ostatnim mianowaniu biskupa-sufragana gnieźnieńskiego, którym został ks. prof. Lucjan Bernacki z Gniezna.

Poradnie przedślubne powołane do życia w Warszawie przez Polskie Towarzystwo Eugeniczne, narazie w ilości dwóch, mają być, jak podaje prasa krajowa, "uzupełnieniem instytucji ślubów cywilnych". Należy się obawiać, że przejmą one tradycje smutnej pamięci poradni "świadomego macierzyństwa".

Kościół Marjacki będzie gruntownie odnowiony, szczególnie psująca się polichromja Matejki wymaga konserwacji. Na ten cel, i na odnowienie ołtarza Wita Stwosza rozpoczęto zbiórki środków.

Młodzież akademicka polska, stojąca twardo na gruncie katolicyzmu, nie znalazła uznania w oczach redaktorów tygodnika "Odrodzenie", którzy zarzucają jej "reakcyjność" i niechęć do komunizmu, i Nienajgorsza opinia...

Mimo braku księży w Polsce powracający do Kraju duchowni katolicy są starannie przesłuchiwanymi i w czasie tych badań dowiadują się, że mimo swego pobytu w obozach koncentracyjnych są podejrzewani o "faszyzm".

Odbudowa kolei w sądeckim natrafia na dwie wielkie przeszkody — tunele w Kamionce W. i koło Zegiestowa. Pierwszy zrujnowany został przez Niemców przy wylotach i może być oddany do użytku na wiosnę 1947. Drugi został zniszczony na całej 500-metrowej długości przy użyciu 15 ton materiału wybuchowego. Wybuch wzruszył całą górę, która obecnie usypuje się. Odbudowa może potrwać do końca r. 1949.

Pomnik ks. Poniatowskiego w Warszawie zostanie odlany w Danji. Brązu dostarcza Szczecin.

Zamek w Poznaniu na mocy ostatecznej decyzji Prezydium Krajowej Rady Narodowej nie zostanie zburzo-

ny ani przebudowany. Stawie się siedzibą władz miejskich. Zabiegi uniwersytetu o zwrot tego gmachu nie dały wyniku.

Na odnowienie panoramy racławickiej i budynek dla niej zebrano dotąd we Wrocławiu przeszło 500,000 zł. Budynek ma stanąć w średnio-wiecznej części miasta.

"Dziennik Zachodni" pisze: "Otrzymujemy często od żołnierzy powracających z zachodu listy, z których płyną słowa goręczy pod adresem naszych władz. Bo co okazuje się: kiedy żołnierze II. Korpusu bawili jeszcze we Włoszech, zostali poinformowani, że w Polsce będą traktowani tak jak żołnierze z dywizji kościuszkowskiej czy innej. Tymczasem po powrocie do Polski okazuje się, że muszą oni przejść przez proces rehabilitacyjny. To jeszcze samo w sobie aczkolwiek dla nich przykre, nie wzbudza tyle goręczy, ile fakt, że za rehabilitację pobiera się opłaty, do tego dość wysokie".

12-letni Władysław Bistróń przybył z Warszawy na motocyklu na zjazd gwiazdzisty do Zakopanego i tam otrzymał nagrodę za uspaniałą jazdę na gymkhanie. Jest samodzielny, dojrzały. "Takich dzieci — powiada "Dziennik Zachodni" — mamy dziś bardzo wiele. To jest pokolenie wojenne. Dojrzało i rozwinęło się umysłowo w przyspieszonym tempie". "Dziennik" radzi, by dla takich "sta-

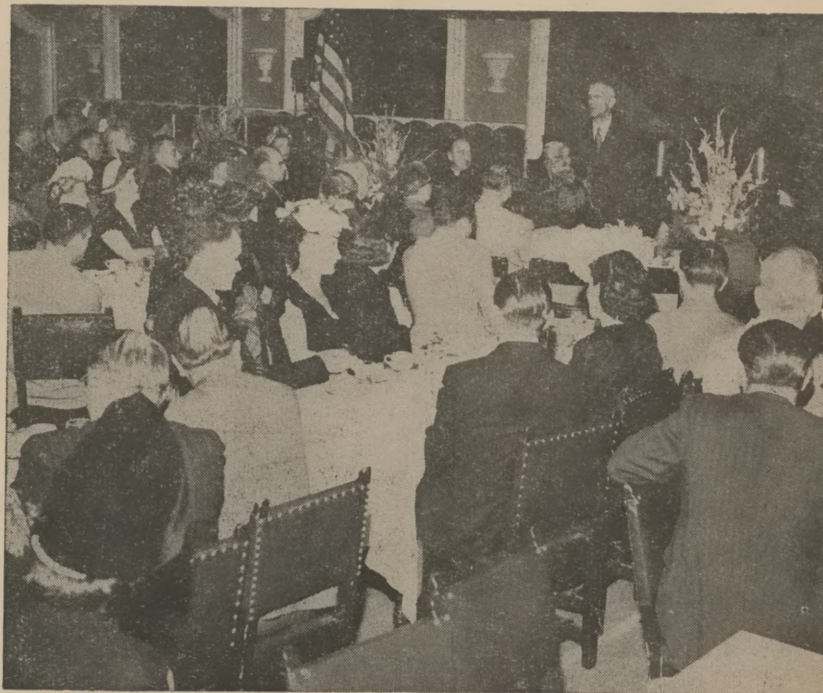
rych dzieci" stworzyć osobny zakład naukowy.

W Warszawie ilość domów mieszkalnych, zajętych na biura, jest kilkakrotnie większa niż przed wojną. Zajmuje się coraz nowe mieszkania i domy. "Jeśli 10 m. kw. — zapytuje "Rzeczpospolita" (245) — ma wystarczyć na mieszkanie dla jednego człowieka, dlaczego na urzędnika w biurze ma przypadać niekiedy 20 lub 30 metrów?"

W Wilnie ulicę Orzeszkowej przemianowano na sowieckiego generała Czerniachowskiego. Został on przy tej ulicy pochowany, a przy jego grobie dniem i nocą czuwa straż.

Z OBOZÓW POLSKICH W NIEMCZECH

W czasie swego pobytu w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec p. Karol Rozmarek, Prezes Kongresu Polonji Amerykańskiej i p. Karol Burke, reprezentant Zjednoczonej prasy polskiej w Stanach Zjednoczonych, przyjeźli na dłuższej konferencji przedstawiciele prasy polskiej w strefie amerykańskiej w osobach delegatów Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Eppstein. Delegacja ta wręczyła Prezesowi Rozmarkowi memorjały w sprawie prasy polskiej w Niemczech, aktualnych zagadnień polskiego dziennikarstwa w Niemczech oraz jego przyszłości.



Dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Yorku, Prof. Oskar Halecki, wygłasza prelekcję p. t. "Poland — East or West", na przyjęciu wydanem na jego cześć w Hollywood przez Stow. Obrony Niepodległości Polski.

Dnia 10. września przesłano przez 309/804/R/Det. Mil. Gov. do podległych mu taemów UNRRA 162, 228 i 263 pismo treści następującej:

“Wiele nieaprobowanych przez władze gazet i czasopism krąży pośród DP i w licznych wypadkach te publikacje zawierają propagandę anty-repatracyjną, która jest bezpośrednią przyczyną tego zjawiska, że wielu DP pozostaje w Niemczech.

Mogą być rozpowszechniane oficjalnie następujące gazety:

a) Wiadomości — wydawane 3 razy w tygodniu przez I.S.C.

Mały Płomyzek — miesięcznik wydawany przez I.S.C.

Jutro Polski — tygodnik polityczny rozsyłany przez M.S.Z.

b) Warszawskie gazety rozpowszechniane przez Polską Misję Repatracyjną są następujące:

Rzeczpospolita, Repatrjant, Dziennik Bałtycki, Głos Ludu, Życie Warszawy, Kurjer Codzienny, Dziennik Ludu, Robotnik, Żołnierz Polski.

Zaznacza się, że wyżej wymienione są jedynymi oficjalnymi gazetami drukowanymi celem rozpowszechniania wśród DP, pozatem wszyscy DP mogą otrzymywać niemieckie pisma i angielskie i wszystkie inne, o ile będą przesyłane im indywidualnie pocztą i nie będą rozpowszechniane w obozie.

Dzienniki publikowane przez Polską Dywizję Pancerną, a mianowicie: Dziennik Żołnierza i Defilada nie mogą być pod żadnym pozorem rozpowszechniane w obozach”.

Zarządzenie to ma widocznie charakter ogólny w strefie brytyjskiej, gdyż i inne teamy UNRRA już je opublikowały w podległych im obozach. Należy podkreślić bezkrytyczne potraktowanie ogółu polskich uchodźców jako ludzi, którzy swe decyzje opierają tylko na tem, co im przyniesie prasa, i to krajowa, dopuszczona przez Misję Repatracyjną. Wiadomo w wielu wypadkach, że czytanie gazet krajowych miało właśnie zgola odwrotny od zamierzonego przez jej kolporterów skutek. Uderza też bardzo jednostronny charakter tej prasy krajowej, bo w spisie wyżej przytoczonym nie ma ani jednego wydawnictwa katolickiego ani też żadnej gazety PSL. Ludność polska w Niemczech, która wciąż cierpi na brak słowa polskiego i która się przyzwyczaiła do swobodnej oceny sytuacji, opartej na lekturze niezależnej prasy, odczuje to zarządzenie jako krzywdzące i komplikujące jej warunki życia na uchodźstwie. W zestawieniu z ludnością pobitych Niemiec aljancka ludność polska, która w obronie wolności znalazła się na uchodźstwie, ma też wolności wciąż za mało.

Jak wiadomo już, opiekująca się studującymi w Niemczech polskimi wy-

chodźcami UNRRA oddała ostatnio sprawę ich dalszych studjów kierowanej z Warszawy Polskiej Centrali Oświatowej, nie pytając się o zgodę na to samych zainteresowanych. Ponieważ krok UNRRA postawił kilkuset studentów polskich w Niemczech przed wyborem albo podporządkowania się władzom warszawskim albo zrezygnowania ze studjów w Niemczech, piekąc ta sprawa była m. i. przedmiotem obrad konferencji zarządów wszystkich Bratnich Pomocy Studentów Polskich w strefie brytyjskiej, która się odbyła 22 września w Bonn.

Referat sprawy dalszych studjów na tej konferencji stwierdził, że nawet ci, którzy zechcą wypełnić kwestionariusze P. Centrali Ośw. mogą uzyskać zgodę na dalsze studia, ale niekoniecznie w Niemczech. Wszyscy inni w obecnej chwili nie mieliby żadnej możliwości dalszego studjowania w Niemczech, których narazie nie mogą opuścić. Szukanie możliwości studjowania bez pomocy UNRRA jest prawie zgóry skazane na niepowodzenie ze względu na obowiązujące przepisy i narażałoby studenta na ogromne trudności materialne i formalne. Są uprawdzie minimalne widoki na uzyskanie osobnego zatwierdzenia sprawy dla tych, którzy nie chcą się podporządkować agenturze rządu tymczasowego, ale celowo powolne zatwierdzenie tej sprawy i dalsze opieranie się na opiniach Misji Repatracyjnej nie wroży powodzenia tej akcji.

W rezultacie jednogłośnie uchwalono nie wypełniać kwestionariuszy P. Centrali Oświatowej i nie podporządkowywać się w żadnej formie rządowi tymczasowemu w Warszawie. Na znak protestu uchwalono wysłać pismo do Hq UNRRA Zone z przedstawieniem stanowiska młodzieży akademickiej polskiej w Niemczech a odpisy tego pisma przelać do wiadomości: Hq Control Commission for Germany, Education; Lorda Beveridge'a; Prezesa Kongresu Polonji Amerykańskiej Rozmarka; Szefa Misji Łącznikowych przy BAOR plk. Rossa; Międzynarodowego Zw. Studentów w

Szwajcarii; Katol. Stow. Studentów “Pax Romana”; Związków Studentów Polskich w Londynie, w Belgji i w okupacyjnej amerykańskiej strefie Niemiec; Prezesa Rady Nacz. Zjednoczenia Polskiego i do prasy.

* * *

W wielu obozach wychodźców w okupacji brytyjskiej Niemiec wydano zarządzenie, że wszyscy b. jeńcy wojenni t. zw. PWX mają w ciągu kilkudziesięciu godzin opuścić obozy cywilne i przenieść się do specjalnych obozów wojskowych. Zarządzenie to wprowadza zupełny rozstrój w życie większości polskich obozów cywilnych, w których b. jeńcy wojenni odegrali ogromną rolę w organizacji wielu dziedzin życia zbiorowego. Ich współpraca w życiu kulturalnym, zwłaszcza w szkolnictwie, dokształcaniu, prasie obozowej, organizowaniu rozrywek i t. d. była i jest wprost nie do zastąpienia. Wielu tym ludziom przypada zasługa zorganizowania życia polskiego na obczyźnie w sposób godny polskiego imienia i polskiej kultury. Ludzie ci pracowali przeważnie zupełnie bezinteresownie i z poświęceniem, stanowiąc 25 a nieraz i 40 proc. najbardziej czynnych mieszkańców obozu.

Za zarządzeniem tem kryje się ta sama myśl co i za decyzją usunięcia t. zw. londyńskich oficerów łącznikowych, którzy jakoby mieli przeszkadzać repatracji. Praktyka jednak wskazuje bardzo często na co innego. Po usunięciu z kierownictwa obozów ludzi o poczuciu odpowiedzialności i dyscypliny, do głosu przechodzą elementy społecznie zanarchizowane, które korzystając z wkradającego się nieporządku zatławiają własne mętne sprawy. W obozie w Walehum w podobnej sytuacji po usunięciu się z zarządu obozu b. jeńców a z nimi grupy współpracującej doszło, rzecz znanymi, do rozbitcia się już przygotowanego i spisanego transportu repatracyjnego.

Cios wymierzony w samo serce polskiego życia kulturalnego na obczyźnie dezorganizuje i rozgorycza, prowadzi do dzieczenia tułaczego życia.

Komu na tem zależy?

JEŻELI CHCECIE:

BY wysyłane przez Was paczki do rodzin w Europie szybko dochodziły

BYŚCIE otrzymali równie szybko potwierdzenie odbioru i podziękowanie.

BY paczki doszły w stanie nienaruszonym, odrutowane i ubezpieczone

Wysyłajcie je za pośrednictwem

AMERICAN RELIEF PARCEL COMP.

152 W. 103 STREET, N. Y. C.

Tel. RI 9-2204

Zwróćcie się natychmiast o cenniki i informacje.